

10901

Bibl. Jag.

color

III



"Kurier Lwowski" Lwów, Środa dnia 7 marca 1917. Nr. 112.

Czwartek " 8 " Nr. 114.

Piątek " 9 " Nr. 116.

Sobota " 10 " Nr. 118.

A K W A R E L E .

(Wspomnienia z Włoch. - Ordon)

"Monsieur Sozański - le capitaine Ordon" prezentowała mi uroczą pięknoscia i wdziakiem panna Anita Strzemboszówna w domu rodziców swoich pp. Michałostwa Strzemboszów we Florencji mężczyźnie, o wyniosłej postaci - jeszcze nie siwiejącemu, uśmiechniętemu, bez żadnej chmurki pewnej nieserdeczności, który wyciągnął do mnie obie ręce i żywą rozpoczął rozmowę na uboczu z gospodarzem po polsku. Dom Strzemboszów był typem domu francuskiego przemysłowca - artysty fotografa, który gdzie się dotknął tego fachu, tworzył pierwszorzędną siłę - czego dowiódł zakładami swymi w Paryżu, Turynie, Florencji, a w końcu w Rzymie. Majątek bardzo okazały zbierał - aby się później rozsypał w pył, a to z powodów, których tu nie dotykam, aby nie oddalić się nadto od przedmiotu.

We Florencji gościł u siebie stałe Ordona co czwartku, rzadko Lenartowicza, który chorzał, niedomagał - a panna Anita była Ordonowi "najmilszem dzieckiem, jakie znał" i rosła w jego oczach. Kapitan rad był z mego pojawienia się w domu przyjaciela, rad też był spotkać się z nim tam, a nie gdzieindziej, chyba w klubie czytelni Viexsseux, dokąd raz może, dwa razy zajrzałem, aby z nim rozmawiać.

- Postać to była stalowego charakteru - żołnierz w każdym calu. - Wyczuwałem w nim dostojność haseł księcia Józefa: "Honor i Ojczyzna". Skromności niezwyklej, lecz w ocenianiu ludzi sądu surowego, a zawsze sprawiedliwego. Bardzo trudnym był do pozyskania go sobie - to też do moich tryumfów zaliczam jego zezwolenie na zrobienie portreciku, do którego mi pozował trzy razy, nie szczędząc trudu jawienia się w pracowni o punktualności wprost bajecznej. Miniaturę tę przechowuję dotąd obok księcia Józefa Poniatowskiego.

- Ale sądzonemi mi było jeszcze więcej: Oto jeszcze na studiach

będąc we Florencji, może w drugim roku mego pobytu zdarzyło się tak, iż przyjaciel mój Zawiejski wraz z pewnym Amerykaninem, nazwiskiem Robertson Trowbridge wyjechali do Grecji i Egiptu, a ja sam zostałem. Z Ordonem jadaliśmy w jednej restauracji "Il Mondo" i jakby w kąpielowym miejscu zbliżyli się wzajemnie niemal koniecznością stykania się codziennego i przywyknieniem do siebie. - Strzem boszów już nie było. - Panna Anita wyszła zamaż i umarła po roku pożycia, co niemało zasępiło pogodę acz więcej zamknęło umysł Orдона. Uważałem, że moje o kraju opowieści zajmowały czcigodnego majora i coraz to więcej rozkrochmalał się, otwierał, a skarżył "na brak należytego trawienia, na niedowidzanie i na niedosłyszenie".

- Trzeba Bogu dziękować i za to panie majorze, iż z tem wszystkim tak się poruszamy, jak poruszamy".

- Niezawodnie - odrzekł, ale już mię zaczyna i żenować towarzystwo, osobliwie dam, gdy rozmowy nie dosłyszę, gdy potrawy nie dojem.. choć się trzymam - ale właściwie jest to blaga...

- Daj mi Boże takiej błagi do końca życia - pocieszałem nieraz i do mickiewiczowskiej wracałem kwestji spotkania się ich wzajemnego, do chwili opisanego wysadzenia reduty w powietrze, a co najważniejsza, do szczegółów samego, cudownego ocalenia życia przy tym wybuchu prochów w magazynie. Uważałem, iż Ordon wtedy zapalał się, młodził jeszcze bardziej, prostował się i głowę podnosił....

Aż oto raz spotkałem go około godz. 5. pop. na ulicy i przyłączwszy się, dalejże gawędzić o obronie Warszawy. W rozmowie złożyło się tak, iż zacząłem Ordonowi, zwracając się ku obłokom, to ku niemu cedzić słowa wieszczu Adama: "Nam strzelać nie kazano... Wstań, piłem na działo... spojrzałem na pole - dźwięście armat grzmiało".. Patrzę, Ordon uśmiechnął się, głową kiwnął, jakby mówił: tak, tak było, a ja dalej wiersz prowadziłem powoli, wyraźnie, akcentując to zwalniając kroku, to przystając chwilami. - W miarę postępu poematu widziałem coraz to większy zapal w jego obliczu i coraz to płomienniejsz patrzące oczy jego to na mnie, to przed siebie.

Ura! Ura! Patrz, blisko reduty, już w rowy

Wala się. Na faszyny kładąc swe tułowy.

Już błyszcza się na białych palisadach wałów...

- przystanęliśmy i już stojąc, dokończyłem wypowiedzenia poematu, z zapalem, który wzajemnie i moją objął osobę. Oczy Ordona przy skowach: Tu blask! Dym, chwila cicho - i huk jak stu gromów... rozwarły się szeroko - wpatrzony już w niego, do niego, do bohatera samego przemawiałem słowem Adama i wtedy to przed ostatnimi wierszami ujrzałem dwie łzy, który błysły mu z oczu i potoczyły się, ginąc w brodzie siwiejącej.

- Nie dobywał chsutki, aby je osuszać - bo skończyłem - obie ręce mi podał i wytrząsk i tylko tyle powiedział: "Aleś pan spamiętał dobrze! żadnego innego rozczulenia nie dostrzegłem prócz tych dwóch brylantów znikłych błyskawicznie.

Była już szósta i przy obiedzie mówiliśmy o całkiem po-ziomych, codziennych tematach - ale przy pożegnaniu upewniał się, czy nazajutrz tu o 6. przybędę.

Czekałem już na Ordona. Nie chybił ani minuty i witając się dobył papier w kopercie dużej i wręczył mi mówiąc: - Tak Cię panie szczerze moje losy interesują, że tu je spisałem dla Pana! Nikt tego

O mało że w restauracji mu ręk nie ucałował. Było bo też i za: o! Autobiografia Ordona!

Oddaję moje pióro Ordonowi.

M. Sozański.

(2)

Rękopism Ordona:

Reduta Ordona przez niego samego opisaną we Florencji w miesiącu wrześniu 1882 roku.

"Urodziłem się w Warszawie 15. października 1810 r. Początki nauk odebrałem w domu rodzicielskim pod dozorem najlepszego z Ojców.

W 1823 r. wszedłem do Liceum Warszawskiego z bratem starszym Emilem, którego po 29. Listopada był gwardzistą akademickim, a po jej rozwiązaniu officerem w 7 pułku piechoty.

Po skończeniu moich nauk w Liceum zaciągnąłem się we wrześniu

... 1828 r. na ochotnika do Batterji Artylerji Gwardji. Wziąłem udział w rewolucji 29 listopada 1830 i wyparciu Moskali z Warszawy. Byłem w bitwach: 14 lutego pod Dobrem, 19. po Wawrem, 23. i 25 pod Grochowem, 31. marca pod Dębami Wielkimi, 10 kwietnia pod Iganiem - w pogoni za gwardjami rosyjskimi, 21. maja pod Tykocinem i Złotorzą, następnie pod Ostrołęką, gdzie byłem ozdobiony krzyżem Virtuti Militari i posunięty na stopień Podporucznika. Po tej krwawej bitwie ściągnęliśmy pod Warszawę dla zreorganizowania się.

W końcu czerwca bateria moja wysłana została była z korpusem przeznaczonym do obserwowania ruchów nieprzyjacielskich pod Modlinem, poczem przez Wyszogród połączyliśmy się z Armią główną pod Belinowem, w marszu pod Warszawę.

W obronie Warszawy generał Bem objął komendę całej Artylerji. 2. września przeznaczył mnie na komendanta reduty Nr. 54 po lewej stronie Woli.

Udałem się natychmiast objąć moją komendę i zrobić inspekcję stanu fortyfikacji, dział i artylerzystów. Ze smutkiem spostrzegłem, że stan obronny był jak najgorszym. Reduta wysypana w sześciokąt z ziemi, nie wysłana nawet faszynami i koszami, by zasłonić działa i kanonierów od kul nieprzyjacielskich, fosy płytkie palisady w nich słabe, wleczki doły nie dokończone. Z 6-ciu dział żelaznych starych, jeden granatnik nie do użycia. Kilkudziesięciu artylerzystów z samych rekrutów złożeni. Zacząłem też natychmiast musztrę, a szczególnie celowania. (3)

Nazajutrz 3-go generał Bem zwiedzając fortyfikacje, przyjechał i do mej reduty - zrobiłem mu raport z odbytej inspekcji; odpowiedział mi, że nie pozostaje, jak tylko bronić się jak można, że w razie ataku przyjdzie nam odsiecz, ale gdyby reduty obronić nie można, przygotować się magazyn wysadzić, by się amunicje w ręce nieprzyjaciela nie dostały.

Ze świtem artylerzyści byli przy działach, piechota, która się z dwóch kompanji około 200 ludzi składała pod bronią. - 5-go z rana, gdy zaledwie dzień zaczęło, patrząc przez teleskop, spostrzegłem jeźdźców konno od strony wsi Włoch, byli to kozacy,

którzy, jak wiadomo, zasłaniają ruchy wojska moskiewskiego; kazałem dać parę strzałów, by ich rozpędzić i pokazać, że jesteśmy na baczności skoro się lepiej rozwiłło, spostrzegłem linii artylerji z kilkudziesięcioma działami ku nam idącej, zacząłem ogień, popierany od sąsiednich szanców, ale Moskale nie bacząc na to, szybko podstąpili pod moją redutę i zaczęli ogień morderczy - w parę minut zdemontowali jedno z dział, ubili i ranili kilkunastu kanonierów. Ogień też nasz powoli ustawał. - Tymczasem piechota rosyjska zupełnie oskrzedziła nas; pomocy obiecannej ani widać było. Piechota nasza, która w czasie kanonady leżała pod wałami, by się o ile można zasłonić od kul nieprzyjacielskich, powstała na komendę swych oficerów i zaczęła ogień na piechotę moskiewską, ale ta stokroć liczniejsza, odpowiedziała gradem kul, rzuciła się z bagnietem na garstkę naszych; ja tymczasem widząc redutę straconą, cofać się zacząłem z moimi kanonierami ku magazynowi, gdzie stał przy drzwiach, z których po schodkach schodziło się do tegoż, podoficer magazynier z lontem, by zapalić sztupy u drzwi do prochów prowadzące; zbliżywszy się do niego kazałem przyłożyć ogień, spuścił lont okropny płomień, poczem nieświadomy niczego jak długo nie wiem; przychodząc do przytomności czułem ból piekielny twarzy i rąk spalonych, powstawszy cokolwiek, słysząc jeszcze pękanie granatów, a zresztą cisza zupełna - tak nasi, jak i Moskale rzucili się płaskim, by uniknąć skorup granatów. - Tymczasem wszedł generał komenderujący atakiem, kazał zabębnić odbój i brać nas do niewoli - rannych włożono na wozy i tak odprowadzono nas do Nadarzy-
na.

(3)

Muszę tu wyznać, że nie widziałem jaki skutek zrobi eksplozja, nie miałem zamiaru ani siebie ani moich kanonierów w powietrze wysadzać; postanowiłem być wypełnić mój obowiązek, spuszczać się zresztą na wolę boską. - Wybuch ten wprowadził w życie wielu naszych a więcej nieprzyjaciela; ocalił jednak życie wielkiej liczby, która byłaby zginęła od bagneta spitego i rozbestwionego żołdaka moskiewskiego, opóźnił atak innych szanów i tem ułatwiał obronę; bo nieprzyjaciółca, sądząc, że nasze szanse były podminowane, szedł z obawą i ostrożnością.

Po wzięciu Warszawy, pozwolono naszym oficerom rannym jechać do rodziny lub przyjaciół leczyć się, bo przez czas tygodnia nie woli żadnego opatrzenia nie było dla braku zupełnego doktorów lub felczerów. - Przepędziłem kilka miesięcy w domu rodzicielskim, przyszedłszy do zdrowia, wraz z bratem młodszym Józefem, oficerem 1-go pułku mazurów, którego uszedł był do Galicji z korpusem generała Rózyckiego i stęskniony niepotrzebnie wrócił do domu, dostałem się potajemnie nad Wisłę do Zawichosta, skąd do Galicji i pocztą obywatelską do Liska do zacnego patrioty hrabiego Ksawerego Krasickiego, prezesa Komitetu Narodowego - nie zastałem go ale szczęściem zastałem kochanego Pana Edmunda, syna mego towarzysza broni, służył bowiem w mojej baterji wkrótce po 29-ym; przyjął nas jak najserdeczniej. - Życzyłem sobie jechać do Francji, ale trudności były o pasport, tymczasem nastąpiła wyprawa Zaliwskiego - wyjechałem pewnego dnia w sąsiedztwo, by się porozumieć z innymi kolegami, tymczasem policja i wojsko napadały na domy, aresztując emigrantów; w czasie mej nieobecności napadli i na dwór w Lisku. Zabrali kilku oficerów i mego brata; nie mając poco wracać, wyjechałem do Lwowa, by tam lepsze wiadomości powziąć o ruchu, ukrywając się w zakładzie Ossolińskich - tymczasem wzięto Zaliwskiego i kilku męczelników, czem owa niedorzeczna wyprawa koniec wzięła. - Nie pozostawało mi, ~~jak~~ jak jechać nawet bez pasportu za granicę; przejechawszy wskrós Galicję, przybyłem do Kalwarji do szanownego barona Brandysa którego ułatwił mi wyjazd do Cieplicy, skąd w nocy przez góry dostałem się do Saksonii do Drezna, tu otrzymawszy pasport od ambasadora angielskiego, dostałem się do Londynu, wyjechałem do Szkocji do Edynburga - gdzie wiele lat zajmowałem się dawaaniem lekoji francuskiego i niemieckiego. W 1848 roku opuściłem Londyn z moim przyjacielem kapitanem w celu udania się do powstania w poznańskim. - Po wielu trudnościach udaliśmy się do Berlina; tu reakcja zaczęła brać górę, przyaresztowano nas jak wielu innych i tylko przez wpływ młodzieży berlińskiej udało się nam wydostać ze szponów policji. Ruszyliśmy do Hamburga, gdzie po raz ostatni widział mego

brata Józefa, zmarł on bowiem w 1852 roku.

Otrzymawszy paspory, udaliśmy się do Włoch, by wziąć udział w wojnie, wydanej przez króla sardyńskiego Karola Alberta Austrii. Bez straty czasu wstąpiłem do armji sardyńskiej w stopniu porucznika artylerji, odbyłem kampanie 48-go i 49-go za które dwa medale otrzymałem. W 1885 na ządanie księcia Czartoryskiego opuściłem służbę włoską, udałem się do Londynu, wziąłem oddział 100 rodaków i okręt z bronią, amunicją i innymi zapasami, danymi nam przez rząd angielski; w końcu czerwca przybyłem do Konstantynopola, skąd do Warny i Szumli, gdzie połączyliśmy się z legionem pod Turkami z 6-ciu szwadronów składającym się, mianowany kapitanem, wziąłem komendę szwadrona, przeznaczonego na artylerję. Od kilku miesięcy nasz legion przeszedł pod Anglików i nową wziął organizację - utworzyliśmy wzmocnieni jeńcami i dezertierami z wojska rosyjskiego 2 pułki kawalerji, 2 piechoty i baterję z 8 dział, którą ja organizowałem i komenderowałem w Sentari. Na nieszczęście, kiedy byliśmy gotowi wstąpić na linię bojową, zrobiono pokój i rozwiązano legiony. Otrzymałem tu order Madżidzi Taruki. Zawiedziony w nadziejach, udałem się do Francji, gdzie musiałem przyjąć miejsce profesora języków w kolegium w Meaux. Tu przerwana moja karjera wojskowa; straciłem najkorzystniejsze lata awansu w wojsku włoskiem i to tłumaczy, że kiedy moi koledzy doszli do stopni pułkowników, generałów, ja karierę w stopniu kapitana skończyłem. W 1860 udałem się do Sycylii i do Neapolu do Garibaldiego, tam otrzymałem komendę 1-ej baterji - po skończeniu kampanii otrzymałem nowy medal, wszedłem po raz 4-ty w stopniu kapitana do armji włoskiej, tu byłem komendantem fortecy Ventimiglia Vinadio, cytadeli w Brescii, Palermo. Nie widząc żadnej kariery przed sobą, podałem się do emereturji, którą otrzymałem 1872 jako kapitan ze stopniem majora. Od tego czasu zamieszkuje Florencję, pocieszając się nadzieją, że stan polityczny na wschodzie może nam coś po myślnego sprowadzić, że będę mógł jeszcze oddać usługi krajowi, po blisko 30-letniem doświadczeniu w rozmaitych wojskach.

Na pamiątkę poznania się naszego w Florencji w 1882 roku.

Michałowi Sozańskiemu

Julian Konstantyn Orden.

- Nie posiadałem się z radości doznawszy tak podniosłych
wrażen, wyśpiewanych przez Bohatera naszego, doznawszy tego za-
szczytu, który miętał z posród żyjących ziomków na obcej ziemi
wyróżnił. Wyczuwał też Ordon wewnętrzne granie w mej duszy i nie
tał żadnego szczegółu, o który go pytałem.

Z Adamem Mickiewiczem - mówił on - spotkałem się w obo-
zie tureckim w namiocie, do którego mię zaprowadzono - tworzył
tam legion, gdy ja już w służbie tureckiej organizowałem ar-
tylerję. 'Wszelki duch Boga chwali!' zawołał, gdy mię zobaczył,-
z któregoż świata przybyłeś?, zapytał, witając mię serdecznie.

Ano, coż! - Podobało się Opatrzności uratować mię i jestem oto
tutaj - abysmy prochu daremnie nie psuli! - I rozpowiedzieć musia-
łem Mickiewiczowi wszystkie szczegóły mojej niewoli, gdy z piwni-
cy magazynu wysadzonego w powietrze wydobyto mię okropnie na rę-
kach i twarzy poparzonego. Zawieziono mię do jakiejś karczmy
w Nadarzynie i tam na pół przytomnego ułożono na łóżku. Sporo
upłynęło czasu nim się felczer pojawił z adjutantem generała,
który wziął redutę. Obandażowany bardzo skrupulatnie miałem
ledwo otwór wolny do przyjmowania pokarmów i patrzenia na lu-
dzi. Rany z oparzenia dokuczały mi okropnie - ale uważałem, że
miałem ludzi do obsługi więcej, niż potrzeba. Samowar syczał
dzien i noc a rany piekły bezustannie, najprzykrzej dnia pier-
wszego, gdy przez dzień cały ciągle oto wizyty były oficerów,
od tegoż generała począwszy, którzy mi się przedstawiali - i
którym oczywiście rękę prawą podawać musiałem... Uważali oni
sobie za punkt honoru, ażeby mnie pokonanego i leżącego w go-
rączce, co rychlej powitać - przybywali oni i z innych pułków
oblężających Warszawę i dlatego długo nie miałem spokoju....

Ale rychło przychodziłem do zdrowia. - Boć to młodość co re-
generuje tkanki skorne i całe organy nawet, chore - nie tak
panie - jak dzisiaj - gdy wtedy żyło się czem bądź a było się
krzepkim - a dziś... Bu machnął ręką i z uśmiechem spojrzał
mi w oczy...

nie usjorze, zwróciłem z tematu - i jak się z tej
karczy w sadarynie ten wydobyl, zapytałem.-

zawili mi serci ucieczkę...zakonczył...

-Było to na wiosnę 1886-go roku.- Przyjechałem do Flo-
rencji na czas Świąt Wielkanocnych i pomnę jak w Wielki Ponie-
dzialek przy uroczystości wylotu gołębic z katedry Duomo, zapa-
lenia ogni sztucznych i haśleliwych przed frontem katedry,- bu-
janiem tej gołębic zastraszanej okropnie sykiem rakiet i grze-
chotem zabek ogni sztucznych dobywających się ze słynnego "Garro",
dowiadawałem się o Ordona.- Jakis chory i niedomaga mówił mi Za-
wiej ki i dawno go już nie widziano na ulicy...

- Żył to był znak rzeczy iscie.- Ordon zachorzał! -
i w gorączce porwał za pistolet ze seiany co pod krucyfiksem
wisiak, wyskoczył z łóżka i pod oknem strzelił w lewą piers -
tam gdzie serce biło...A mierzył dobrze, bo skonstatował lekarz,
iz przeszłyte zostało serce na wylot....

Lenartowiczowi dano znać najpierwej. Przybiegł prze-
razony. Zastał Ordona w bieliznie leżącego na wznak pod oknem'-
zakał ręce nad nieszczęściem - nad tym fatalizmem, który nie
dał bohaterowi dotrwac i docierpieć życia. Pochylił się nad opie-
wanym przez Adama bohaterem, dotknął głowy i piersi i spostrzegł
dopiero, iz czyniąc mu znak krzyży na piersiach, pomazał konce
palców krwią jego. "Święta ta krew", wyszeptał, patrząc na swe
palce i przezegnał siebie tym znakiem.- Powstał i wpatrując się
w śpiącą twarz Ordona, wstchnął i zapłakał.

"Wielką krzywdę nam wyrządził!...Taka piękna cho-
regiew upadł!...Nie-rychło taką drugą mieć będziemy".

Ordon pozostawił rozporządzenia co do swego pogrze-
bu - żałł spalenia zwłok swoich. Nazajutrz przedpołudniem ekspor-
tacja odbyła się z kościoła Miserykordji z honorami wojskowymi -
a na piazza Cavour ustawila się honorowa kompanja w czworobok,
zwłoki na środku, a Lenartowicz wszedł na schody kamienne na-

rozne go domu i mimo ulewnej deszczu, wiał przemową do żołnierzy i
garstki przechodniów, co pod arkadami skryli się przed ulewą. Prze-
mówił, promiennie do nich - z akcentem mazurskim po włosku, władając
notabene językiem Danta przewrotnie, i skławił Ordona Włochom, po-
równując z Piotrem Miksa, co to w piwnicy zamkowej, podobnie jak
Ordon, zapalił beczki z prochem i wraz z sobą pogrzebał w gruzach
zuchwalców zamku.

Krótko mówił, bo ulewa zalewała słowa mowcy - uszy słu-
chaczów. Pochód udał się na Trespiano - do krematorium.

Spalenie zwłok Ordona miało przebieg normalny - trwało dzie-
sięć minut zaledwie, jak mi to świadek naoczny pan Wczelka opowiadał
zwłoki Ordona wyjęte z trumny, ułożono na wznak na płycie żelaznej
i wtoczono ją w otwór "zimny", niby przedpokój właściwego krematorju-
um. Zasława z żelaznie zamknięta, w otworze zostaje druga, już do
czelusei wiodąca - tam wjechała płyta już automatycznie i tam obser-
wować można było przez izolowane okna z boku proces spalania. W je-
dnej chwili zajaśniał cały Ordon, jakby w aureoli - żadnego dymu,
żadnego promienia, tylko jasno czerwone wszystko - i tło, i płyta
i zwłoki. - po kilku minutach, jakby ruch w środku tułowia i opadnię-
cie takowego w formie czerwonego popiołu - jeszcze parę minut i spa-
lenie dokonało się całkowite. Znacznie już dłużej trwa oziębianie
płyty i staranne zsuwanie popiołu do urny.

Pomnik Ordona, dłuta Tadeusza Barączka, stoi na naszym cmen-
tarzu Łyczakowskim, a popioły, jak mi mówiono, przechowane są w In-
stytucie Ossolińskich.

Tak żył i skończył Juliusz Konstanty Ordon.

Wielki mi spóźnił cię z pism. Daję bowiem wierny obraz
postaci o którą mnie zapytywano, nie o to, czy istniała, ale o sam
czyn opiewany przez Mickiewicza, jakoby "przesadzony bujną fantazją
poety. Wątpliwosci usunąć takim dokumentem, jak autobiografia i ko-
mentarzem z osobistych przeżyć z donaterem listopadowego Powstania,
uważałem za święty mój obowiązek.

Michał Sozański.

Drobne sprostowanie relacji
o Juljuszu Konstant. Ordonie.

Pan Michał Sozański w feljetonie "Kurjera Lwowskiego" podał autobiografię Juljusza Konstantego Ordona, kończąc opowiadanie swoje temi słowy: "Pomnik Ordona, dłuta Tadeusza Baracza stoi na cmentarzu Łyczakowskim, a popioły, jak mi mówiono, przechowane są w Instytucie Ossolińskich we Lwowie".

Byłem osobiscie na uroczystości poświęcenia pomnika Juljusza Konstantego Ordona, na cmentarzu Łyczakowskim. Widziałem jak wstawiano do niszy, u góry pomnika, urnę z prochami. - A więc popioły Ordona spoczywają w pomniku, a nie są przechowywane w Instytucie Ossolińskich.

Przy tej okoliczności wspomnieć muszę o smutnym fakcie, który wówczas dotknął głęboko serca patriotyczne ludzi myślących. Wyraz zaś uczucia jakie ow fakt wywołał, wypowiedziany został wówczas otwarcie i szczerze przez redakcję "Kurjera Lwowskiego". Fakt, o którym mowa, był następujący: Duchowienstwo katolickie odmówiło swego uczestnictwa w uroczystości patriotyczno-narodowej, musiano się udać do duchownego wyznania luterńskiego. Pastor, którego nazwiska nie pamiętam, poświęcił pomnik i miał przemowę stosowną, rozumną, podnosił bohaterstwo i patriotyzm dzielnego męża, któremu wdzięczny naród stawia pomnik niniejszy. Imię jego, jak to przepowiedział Wieszcz nasz niesmiertelny, w poemacie swoim "Reduta Ordona", będzie patronem szanców wojska polskiego, walczącego zawsze tylko za wolność, a nigdy w celach zaborczych.

Dzienniki nasze omawiając ow wypadek smutny, przytaczały fakt podobny, jaki miał miejsce w Warszawie, przy poświęceniu pomnika dłuta Torwidsena, stawianego na Krakowskim przedmieściu, poświęconego pamięci największego geniusza Polski Mikołaja Kopernika. I wtedy musiano się udawać do duchowienstwa ewangelickiego, bo duchowienstwo katolickie odmówiło uczestnictwa swego w uroczystości tej narodowej. Pastor wygłosił przemowę patriotyczną, wielbiąc zasługi Kopernika wobec ludzkości całej.

Dr. B. Dybowski.



~~NOT FOR~~

